

**PIOTR BEDNARSKI**

**GRUDKA BURSZTYNU**



*Piotr Bednarski*

# **GRUDKA BURSZTYNU**

Copyright by Piotr Bednarski & e-bookowo 2009

ISBN 978-83-61184-36-2



[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

## 1.

Niezależnie od pory roku i stanu pogody budził się zawsze o tej samej porze – przed świtem. Nie wiedział, która godzina, ale był pewien tego, że za chwilę niebo rozjaśni poranna zorza. Odrzucił kołdrę i naciągnął na siebie ubranie, cicho, prawie bezszelestnie, ale matka i tak usłyszała. Nie można jej było przechytrzyć.

– Dzisiaj nie płyniesz – sztorm. Posłuchaj jak wiatr śpiewa w kominie.

Pamiętał, słuchał ostatnią prognozę, ale nie potrafił leżeć beczynn timer, ani rozmyślać w łóżku; myśli nie wiązały się ze sobą jak, dajmy na to, ścięgi robótki ręcznej, lecz szybko zaczynały deptać sobie po piętach, zgrzytać i splątywać się w kołtuny. I wyłaziła z tego paranoja. Wypił resztkę herbaty ze szklanki stojącej na nocnym stoliku i wyszedł na oszklony ganek. El, owczarek kaukaski, czekał już na niego, poklepał go po głowie i poczuł ciepło. „Wierne ciepło”.

– Co śniłeś?

Zamerdał ogonem, zaskowytał cicho i polizał dłoń.

– A jednak śniłeś, a ja nic nie zapamiętałem. Myślę, że śniłbym to samo – rejsy na Daleki Wschód, albo do Afryki. Lubię te sny, tyle w nich kolorów. Wszystko za mną, minęło i ja minąłem. Bo co teraz znaczę?

Pies nie zareagował.

– Chyba coś znaczę, skoro istnieję? I to już tyle lat.

Nie powiedział, że ma trzydzieści trzy lata, nigdy też nie obchodził urodzin ani imienin. Nie chciał wiedzieć ile ma lat, „bo to nic dobrego”. W czasie mieści się czerń, matowa czerń z ssącym otworem. Przeróżający widok.

Nie bał się ciemności, sztormów, tropikalnych ulew czy błyskawic. Bał się samotności. Aby czuć się człowiekiem musiał mieć przy sobie żywą istotę, jak w tej chwili psa. Bał się także matowej czerni, która jest częścią natury i jest we wszystkim, jak życie. Tak twierdził i tak to widział. Jeśli ta tajemnicza matowa

czerni stawała się widzialna, był to znak, że grozi mu niebezpieczeństwo, coś, czego należy się obawiać – uciekać lub omijać.

Bał się samotności, a jednocześnie nie znosił tłumu, wystarczał mu do towarzystwa jeden człowiek, zwierze czy ptak, stworzenie, w którym wyczuwał rytm serca i którego oczy chwyciły światło.

Był nadwrażliwcem, dźwięk docierał do ucha przez serca. To boli, serce przecież nie do dźwięku stworzone. Uważał, że każdy reaguje na wydarzenia tak jak on i dziwiło go to, że ludzie świadomie zadają sobie ból, nie mając o to do siebie pretensji. Złorzeczą sobie w oczy bez powodu, a wieczorem siedzą przy jednym stoliku i piją piwo, snują plany na przyszłość, albo opowiadają o kobietach, które na nich czekają z tęsknotą. Czyżby nie zdawali sobie sprawę z tego, że ich słowa kaleczą słońce i gwiazdy, i oceany z ich potężnymi niezliczonymi falami, które zawierają w sobie tyle piękna i tajemnicy. Powiedział im o tym. Nie byli w stanie tego zrozumieć.

– „Ludzie kłóć się od zawsze i od narodzin złorzeczą sobie.”

– „Wasze słowa są ostre jak brzytwy. Musicie cierpieć z tego powodu.”

– „Tak, cierpimy – odpowiedzieli – ale potem jest lżej, łatwiej iść do przodu.”

– „Ale wypowiedziane zło nie ginie, zawsze się do kogoś przykleja i niszczy”.

Spojrzeni po sobie znacząco.

– „Nikt z nas ci nie ubliża. Daj spokój.”

Przez chwile milczał, analizował to, co przeżywał, kiedy oni skakali sobie do oczu. A kiedy harmonijka zmarszczek wyrównała się podniósł głowę i omiół ich spojrzeniem.

– „Jakbym na to nie patrzeć kaleczycie. Boli mnie to.”

– „Adrenalina dodaje życiu smaku.”

Tego z kolei on nie rozumiał. Wpadał w dziwne podniecenie z powodu ostrego słowa, odpychającego gestu, nagannego spojrzenia. Nie było to dobre emocje, nie przyjaciele. W takim stanie był w stanie popełnić czyn kryminalny i trafić za kraty. Tak mu się przynajmniej wydawało. Bał się podniecenia,

szczególnie wtedy, gdy przebywał wśród ludzi, chyba że wyzwalalo to wybuch radości, wtedy cieszył się jak dziecko latawcem.

To było dawno.

Teraz czuł wschód słońca i szedł z psem, ramie w ramie, dokładniej to El wyprzedzał go o pół kroku, był przecież nie tylko przyjacielem, ale i ochroniarzem, drugim po Aniele Strózu. Wiedział o tym i nie chciał się zbłąźnić.

– Uważasz, że spotkamy? – zadawał to pytanie mając na myśli miłość.

– Spotkamy – usłyszał odpowiedź.

– A może jesteśmy spóźnieni? – I wydłużył krok.

– „Nigdy nie należy się śpieszyć, co ma przyjść – przybiegnie, czeka na nas od stworzenia świata, albo dłużej. Z Boga przecież każda światłość”.

Zwolnił, a następnie przystanął i spojrział na niebo. Potok szarych chmur w górze, niżej czarne, poszarpane grzywy spłoszonych koni zmieszane ze spódnicami wiedźm. Zachodni wiatr upaja się mocą. Ma do dyspozycji to, co na ziemi, na morzu i to, co otacza nasz świat. Dużo do zniszczenia. Pomaga mu woda i ludzkie grzechy – złe emocje.

– Mimo wszystko, jestem dzielny. – I położył rękę na głowie El.

Stał przy nodze, ale nie patrzył na niebo, drażnił go nieznany zapach.

– I bardzo wstydlivy. Tylko tobie to mówię.

– Wszyscy o tym wiedzą.

– I wykorzystują. To nie jest w porządku.

## 2.

Przeszli przez asfaltową jezdnię i weszli w zagajnik. Luźno rosnące sosny zawierały w sobie cichą elegancję i niezłomność wpisaną w ich głębokie korzenie, elastyczny pień i gałęzie ułożone tak, aby nie niszczył je wiatr. Arcydzieło.

„Sosny są mądrzejsze ode mnie. Wszystko lepsze. Nie! Nie wszystko. Nie każdy rozumie mowę ryb, a ja rozumiem, choć ryby nie mówią. Nie chwalę się tym, dolałbym tylko oliwy do ognia. Powiedziałem tylko matce. Szepnęła: „Jeszcze i to” i poprosiła, abym już nigdy nie mówił o tym, ponieważ mogą odebrać prawo pływania. I co wtedy będziesz robił? Bez morza – umrzesz”. Groźba wstrząsnęła, aż w głowie zaszumiło, zawiroowało coś ciemnego. Zło czyha na każdym kroku. Odebrać człowiekowi morze, to straszna kara”.

– Nie chcę umierać, lecz żyć i lizać szczęście – powiedział.

– „A kto nie chce” – błysnęło w mózgu.

Tyle razy przyrzekał sobie, że będzie omijał myśli o śmierci. Nigdy też nie myślał o tym, że nie chce umrzeć, a jednak człowiek swoje, a lęk swoje dzierga; na jawie, we śnie i w podświadomości.

Usłyszał skomlenie psa. Drgnął i spostrzegł, że stoi w miejscu. To mu się często przydarzało, gdy wspominał przeszłość. Kiwnął głową i ruszył przed siebie, przeciął wysepkę wrzosów, następnie czarnych jagód, nie zatrzymał się, aż dotarł do sosen, których pnie były zasypane piaskiem zdmuchniętym z wydm. Przypadał za tym miejscem.

– „Sosny na Pustyni – czy to nie szczęście widzieć coś takiego?”

– „Wielkie szczęście” – potwierdzono.

– Skoro tak dużo wiesz, to powiedz mi, dlaczego żadna kobieta z osiedla nie kocha mnie?

– „Ja cię kocham”.

– Z tobą to żadna dyskusja.

– „Masz rację. Ale kocham i czekam na ciebie.”

– Chciałbym, żeby czekała na mnie kobieta, nie ty. Dziewczyna o płomiennych włosach i zielonych oczach. Załatw mi to.

Pies ponownie zaskomlał. Kiedy zatrzymał się, polizał mu dłoń.

– Co znowu?

Spojrzał na El i uśmiechnął się, ponieważ spostrzegł, że pies się uśmiecha.

– Spodobała ci się moja prośba?

El nie odpowiedział, ale uśmiechnął się ponownie. Uznał to za potwierdzenie. Poczł dumę. Po raz pierwszy opisał kobietę, za którą tęsknił. „Może to siebie proszę?”. Zaczerwienił się ze wstydu. Pokiwał z niezadowoleniem głową i pomyślał, że i za to mogą odebrać prawo pływania.

Wiatr nie spuszczał z tonu, wysokie C gwizdało w gałęziach sosen, w chaszczach wydmowych i niosło w dal drobiny piasku.

Sztorm. Może już dziesiątka w skali B.

– „Gdyby nie ten wiatr nie byłoby mnie w tym miejscu, nie zobaczyłbym uśmiechu El i nie wiedziałbym, że moja dziewczyna ma zielone oczy”.

– Więcej ani słowa.

Boratino zmarszczył brwi i zatrzymał się.

Strach ma wielkie oczy.

Miał dnie, kiedy myśli układały się harmonijnie i szybko, ale często przeszkadzały sobie. Słowa plątały się, zajmowały niewłaściwe miejsca, tworzyły dziwolągi, choć w głowie było cicho, nic nie huczało i nie kłuło. Tego też się bał. Teraz, mówiąc, patrzył ludziom w oczy, jeśli nie dostrzegał zdziwienia lub zażenowania, kontynuował, jeśli było coś nie tak, machał ręką i ruszał przed siebie.

– Strach zabija – szepnął. – Powtarzam to sobie codziennie. Powtarzam nadaremnie.

Z tym się urodził. „Ze zwierzęcym instynktem i boskim sumieniem”. Tak powiedziała akuszerka. A położne dużo wiedzą, oj, dużo więcej niż filozofowie.



Ale tak, czy owak nie można wszystkiego dostrzec w człowieku zaraz po urodzeniu, są cechy, które rozwijają się z wiekiem, czasami kiełkują z przeżyć, czasami ze zdarzeń, wytłumaczalnych lub nie.

Boratino pamiętał wejście w światło.

Takich zdarzeń się nie zapomina. Wspomnienia budziły dumę, czasami upajały. Włóczęga po morzach świata zostawia po sobie smak i zapach.

– „Jeśli dotknę tego kręgu wpadam w podniecenie”.

Czuł się poruszony, więc usiadł na piasku pod sosną, tyłem do wiatru, opierając plecy o pień.

Pewnego dnia, na Oceanie Indyjskim, w czasie tropikalnych ulew, malował winde ładunkową na śródkręciu. Z mostku przywołano go w ostatniej chwili. Dziób już wpływał w ulewę. Odwrócił się i zobaczył pioruny kuliste biegnące po radiowej antenie. Biegły za sobą jak szczury po cumie. Ogarnął go czar. Widział gorejący krzak, jak Mojżesz. Mostek wezwał ponownie. Odwrócił głowę i spostrzegł, że maszt też płonie. Nie zdążył się wycofać, zagarnęło światło.

– „I jak było w tej światłości?” – spytał ktoś siedzący obok niczym strach na poboczu drogi.

– Dziwnie, nie było mnie, a jednak czułem, że jestem ważny i kochany. A tu nikt mnie nie kocha.

– „Nawet matka?”

– Matka owszem, ale chcę, aby ktoś mnie kochał spoza rodziny. Aby kochała mnie kobieta, zadziwiająco piękna, kochała tak jak siebie samą.

– „A szukasz?”

– Rozglądam się. Zresztą, jeśli ktoś ma mnie znaleźć, to się nie ukryję, z mysiej dziury mnie wygrzebie.

– „Coś nie jest tak, Boratino”.

Nie odpowiedział.

Po chwili wstał i ruszył w stronę wydm.